



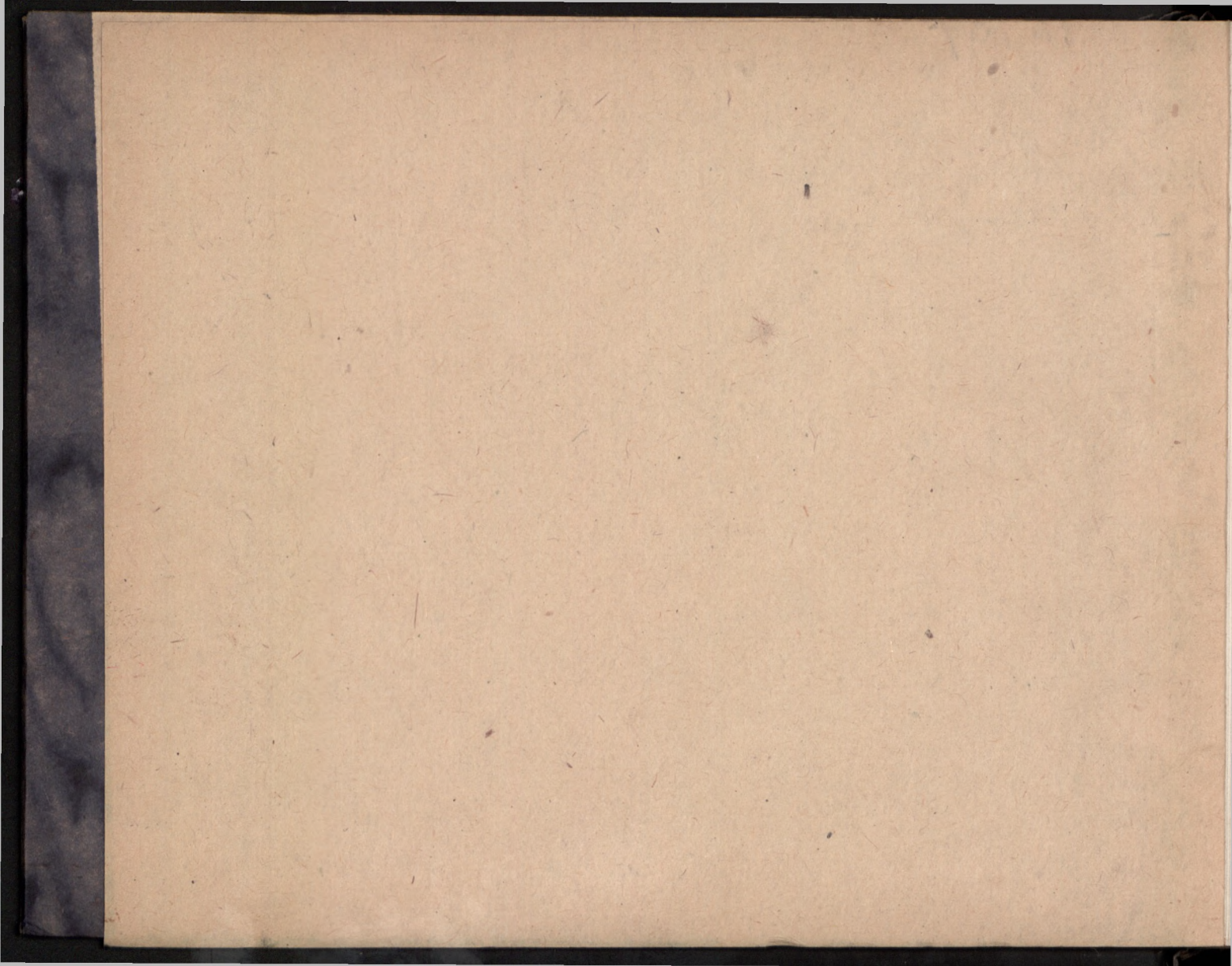




STONRO WIDZIELA  
Maria Weryba









1. 091.907

Mally Bukowska  
1911

# Co Słoneko Widziało

Marja Weryho





KOMISARJAT  
m st WARSZA

Egzemplarz obowiązko

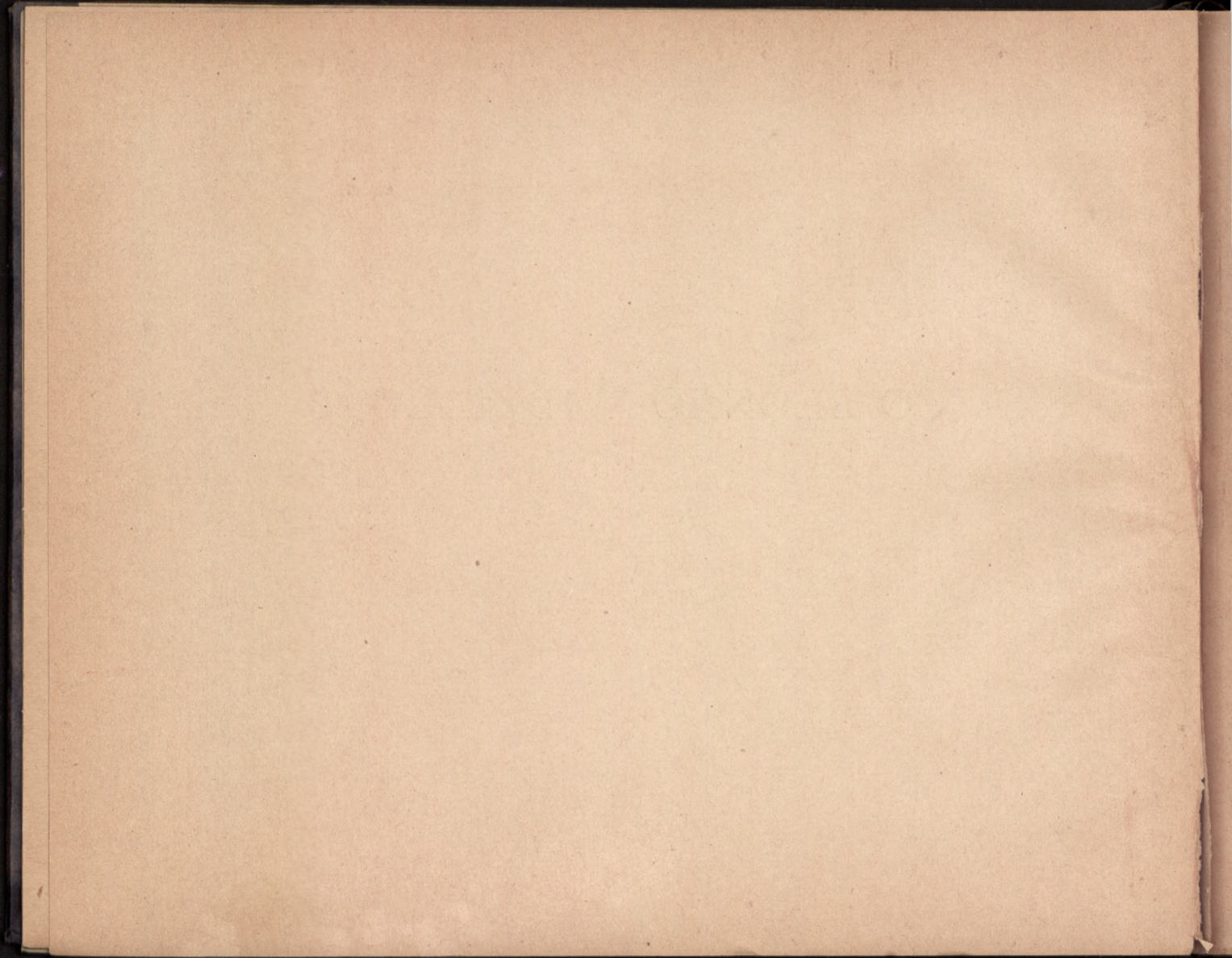
Nakład 3000 egz.

dnia 5 XII 19 22



CO SŁONKO WIDZIAŁO







MARJA WERYHO

# CO SŁONKO WIDZIAŁO

34 POWIASTKI DLA MAŁYCH DZIECI

Z 27 RYSUNKAMI K. GORSKIEGO

WYDANIE PIĄTE

KSIĘGARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE





DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH  
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE  
CZERNIAKOWSKA 225

*I, 541, 487.*

*1928. E. O. 3204*



# S T R U M I E Ń

**M**AŁY Piotruś siedzi na trawie i bawi się drowienkiem, a blisko niego strumyk płynie.

— Jak też prędko biegnie woda! Ciekawym, kto szybciej: ja czy ona.

Rzucił chłopak drzazgę do wody, drzazga popłynęła, a Piotrek biegnie, żeby ją prześcignąć.

— Czemu pędzisz, jak szalony? — woła zadyszany i nie może dogonić strumyka.

— Sz-sz-sz! — zaszemrał strumyk. A to miało znaczyć: Śpieszy mi się, bo mam dużo roboty.

— Ciekaw jestem, co ty masz za robotę? Chyba kamienie obracać.

— Oho! dużo ty wiesz! — powiada strumyk w swoim



języku. — A kto poi konie, bydło? A kto bieli twojej matce płótno?

— To mi praca! — śmieje się chłopiec.

— Wiem doskonale — odrzekł strumyk — że nie-dużo sam zrobić mogę, więc śpieszę połączyć się z moim braciszkiem; we dwóch będziemy silniejsi, no i praca będzie inna; niejedno młyńskie koło poruszymy. A gdy po drodze jeszcze kilka strumyków przyłączy się do nas, wtedy siły nabierzemy potężnej. Poniesiemy na sobie tratwy, berlinki, statki...

— A czy to nie lepiej, żeby każdy pracował o własnej sile?

— Wcale nie; każdy z nas, gdy sam płynie, jest słaby, słońce go łatwiej wysuszy, trawa zanieczyści, lada przeszkoda zatrzyma; a gdy kilka chociażby słabych strumyków połączy się razem, to się z nich wytworzy duża, silna rzeka i wszystkie przeszkody pokona.



Ale, mój chłopcze, nie zawracaj mi głowy: muszę pędzić prędko na spotkanie brata.

— A ja z nikim się nie połączę i pokonam ciebie! — zawołał Piotrek. — Spróbuj się ze mną mocować, jeżeli zechcę, zatrzymam cię w biegu i basta!

Przy tych słowach chłopiec wziął do ręki deskę i usiłował z niej i z siebie zrobić tamę.

Słyszając to, rozgniewał się spokojny





strumyk, uniósł się, do góry podskoczył z wysiłku, długo szamotał się z chłopcem, pieniał się ze zmęczenia — ale wkońcu obalił Piotrka.

— Ratunku! ratunku! — woła chłopiec, borykając się z wodą.

Szcęściem, brat jego Antek był niedaleko, więc wyciągnął malca z wody.

— Niegodziwy, udaje, że słaby, a ludzi przewraca. Pędź, wiatrogonie! Wyobrażam sobie, co będziesz wyprawiał, gdy z braciszkiem się połączysz! — mówił Piotrek do siebie.

I poszedł do domu zmienić zamoczone ubranie.





# K A P E L U S Z   S T A S I A

**S**TACH jest najmłodszym w domu. Chodzi w długiej koszulinie i w czerwonej czapce, którą mu matka z włóczki zrobiła.

Ale chłopiec czapki swej nie lubi, chce mieć kapelusz słomkowy. Ojciec nosi podobny kapelusz. Walek, Antek już kupili sobie podobne, dlaczegożby on nie mógł mieć słomkowego kapelusza?

Prosi więc Stach i matkę, i ojca, i wszystkich w domu o kapelusz, ale nikt go słuchać nie chce.

Aż razu jednego babka poszła na jarmark, sprzedała dobrze kurczęta i Stasiowi słomkowy kapelusz kupiła.

Okrutnie ucieszył się chłopiec. Nie zdejmował ka-





pelusza przez cały dzień,  
a nawet gdy spać po-  
szedł i leżał w łóżku —  
trzymał w ręku kapelusz.

Nazajutrz rano wszy-  
scy poszli do roboty,  
Stach tylko sam został,  
ale nie nudzi mu się wca-  
le: ma nowy kapelusz.

Włożył go na głowę  
i wyszedł na drogę.

Wtem zrywa się wiatr  
i zaczyna mu zrzucać  
kapelusz.

— A dyć siedź! —  
powiada Stach i mocniej  
wsunął go na głowę.



Wiatr tymczasem dał coraz silniej i tak zakręcił, że porwał kapelusz Stacha i poniósł.

— Kapelusz, kapelusz! — woła chłopak i goni, co ma sił. A wiatr pędzi go przez drogę, przez pole, łąkę, przez kałuże niesie.

— Mój kapelusz — woła Stach przez łąki, tracąc go zupełnie z oczu. I na cały głos płakać zaczął.

Ale nic to nie pomogło: kapelusz zginął. Stach znowu wrócić musiał do czerwonej czapki.

Długo się martwił zgubionym kapeluszem, a co wspomni sobie, to mu się na płacz zbiera.

Aż tu raz pewnego ojciec wraca z pola i kapelusz zgubiony trzyma w ręce; znalazł go w krzaku ostu.

Jak chłopiec nie krzyknie, jak nie porwie kapelusz. — Mój — woła — mój, ten sam kapelusz!

I obraca go na wszystkie strony i przygląda mu



się i tuli go do siebie. A gdy się nacieszył dostatecznie, wtedy zawiesił go na ścianie.

Teraz Stach ma swój kapelusz w największem poszanowaniu, od czasu do czasu zdejmuje ze ściany, przymierza, chodzi w nim po izbie z założonemi wtył rękoma, ale na drogę sam jeden w nim nie wychodzi, chyba z drugimi, albo gdy ładna pogoda.



O Ś W I C I E

**B**YŁO to w lesie. Dużo w nim drzew różnych ro-  
sło: i brzozy, i sosny, i choinki. Na mniejszych  
drzewach i krzakach siedzą ptaszki. Na jednym siko-  
ra, na drugim zięba, tam szczygiełek, a w dziupli  
strzyżyk się schował.

W środku lasu zamieszkała sroka i na najgrubszej  
sośnie ma gniazdo z daszkiem.

Było bardzo wczesnie, jeszcze słońce nie weszło,  
gdy sroka wyskoczyła z gniazda, usiadła na gałęzi  
i tak myśli:

— Polecę na brzeg lasu. Ptaki jeszcze śpią i nie  
spozrzedzą mnie; a potem, gdy się obudzą, pofruną







szukać pożywienia. Wtedy ja fr! fr! do gniazda i parę piskłat porwę na śniadanie.

Sroka z wielkiej uciechy łebkiem pokręciła. I poleciała.

W lesie było cicho i ciemno. Sroka usiadła na starej sośnie i czeka.

— Wyborną miałam

myśl przyjść tu tak wcześnie. Trochę się spać chce i zimno, ale nic nie szkodzi.

Napuszyła sroka piórka i siedzi.

Siedziała tak długo — aż zasnęła.

A tu i słońko weszło. Ptaki się pobudziły. I Walek w pole wyjechał.



— Tur-r! — zaturkotała fura Walkowa.

Nasza sroka, jak wszystkie sroki na świecie, była bardzo płochliwa. Jak nie zacznie na cały głos krzyczeć:

— Cze-cze-cze! Cze-cze-cze!...

Ptaszki zaraz srokę poznały po głosie. Tula swe dzieci pod skrzydła i nie dadzą ich porwać, choćby cały dzień siedzieć miały.

— Tom się zgapila — pomyślała sroka i zła na siebie odleciała z niczem do domu.





WĄSKĄ ścieżką w lesie biegł grabarz. Od czasu do czasu stawał, rozglądał się i znowu biegł dalej. Wtem spostrzega pod sosną żuka. Siedział skulony, cały czarny, z dwiema pomarańczowemi przepaskami na skrzydłach.

— A toć to taki sam grabarz, jak i ja — pomyślał żuk — pójdę, dowiem się, czemu ma taką smutną minę.

I poszedł.

— Co ci jest, kumie, że w jasny dzień siedzisz, jak skamieniały?

— Ach, mój drogi, martwię się, że niezadługo jesień nastanie, a jeszcze nie znalazł miejsca dla





złożenia jajek; na listku — wiatr zdmuchnie; na ziemi deszcz spłóczy.

— To tak, jak ja. Latam po lesie i nic dotąd odpowiedniego nie widzę; prosiłem swej krewniaczki o radę, ale ta powiada, że ma swoje kłopoty na głowie.

— Wiesz co? jeden jeszcze jest sposób; pójde poradzić się mrówek; powiadają, że one są najmądrzejsze między owadami.

Tak też i zrobił

Przy mrowisku spotkał mrówkę strażnika i zaraz jej opowiedział o swoich kłopotach.



Mrówka wąsikami niespokojnie ruszać zaczęła i tak rzecze:

— Nie znam ja, przyjacielu, ani waszego życia, ani waszych przyzwyczajęń ale jedno poradzić mogę: zbierzcie się wszyscy razem, co głowa to rozum, więc wspólnie co wymyślicie. My tak zawsze robimy i nigdy nie żałujemy tego.

Grabarz podziękował za radę i poszedł.



## II

**N**AZAJUTRZ o świcie ze wszystkich stron zaczęły schodzić się żuki-grabarze. Miny zafrasowane, zamyślane, co też postanowią.

A gdy już pełna ich była polanka, jeden z nich wystąpił naprzód i tak przemówił:

— Bracia-grabarze! Zebraliśmy się tu, ażeby obmyślić, gdzie jest najodpowiedniejsze miejsce dla przyszłego naszego pokolenia. Kto ma jaki projekt, niechaj mówi śmiało.

Zaraz odezwały się różne głosy.

— Nad brzegiem rzeki — powiada jeden — pod lasem, leży mysz zdechła; sądzę, że najlepiej złożyć w niej jajko, sam się tam wychowałem.



— Ba! — odrzekł drugi — jużci, że w padlinie najdogodniej byłoby naszym dzieciom, ale kto mi zareczy, że owej myszy kret lub sęp nie porwie pewnego pięknego poranku?

— Można byłoby zakopać w ziemię — odzywa się jakiś żuk.

— A gdybyśmy tak zbadali grunt na miejscu?

— Dobrze! dobrze! — zawołały i poszły.

Wszyscy się zgodzili na jedno, że najbezpieczniej dla ich dzieci będzie w padlinie. Ale jak zabezpieczyć tę padlinę?

Mysz nie była duża, lecz żaden żuk poruszyć jej nie miał siły. Grunt okazał się gliniasty, niepodobna go było podkopać.

— Bracia! — ktoś zawołał — włączcie pod mysz, a teraz hop! ruszajcie.



I grabarze, wzięwszy na plecy padlinę, ostrożnie poniosły ją na miękką ziemię.

— Doskonale. Teraz dalej do roboty, kopmy dół w ziemi.

Posłuszne, a chętne żuki krzywemi łapkami wykopały dołek tak głęboki, że mysz zrównała się z ziemią.

Napracowały się okrutnie, ale teraz każdy z nich wiedział, że przyszłość dzieci jest zabezpieczona; że gdy wylęgną się z jajek, znajdą dla siebie na miejscu pożywienie.

Po kilku dniach wszystkie grabarze już poskładały jajka.

Teraz wspólnymi siłami znów zasypały ziemię, ubiły łapkami i rozeszły się, myśląc, że rada mrówki była słuszna: wspólną pracą można wiele zdziałać.

Minęła jesień i zima. Stare grabarze dawno pomierały.



I zdawało się, że już niema grabarzy na świecie.  
Lecz przyszła wiosna, a z nią pojawiły się młode żuki-  
grabarze, które, dzięki dobremu pomysłowi rodziców,  
choć sierotki, wychowały się dobrze na padlinie.

I oto teraz wyszły wesole i cieszą się życiem  
i wiosną.





**P**OD dużym mostem jaskółki ulepiły sobie gniazdko; złożyły tam pięć jajeczek, a po paru tygodniach w gniazdeczku... siedziało pięcioro młodych piskląt.

Byłoby im tam dobrze i swobodnie, gdyby nie bezustanny turkot na moście.

Czasem biedne pisklęta zrywały się ze snu i piszczały przeraźliwie, gdy jaka dorożka przejeżdżała tamtędy.

A nieraz, gdy ciężki wóz się wtoczył, to trząsał się most cały, a z nim i gniazdko jaskółcze.

— Oj, oj! wpadniemy do wody, mamusiu, ratunku! — krzyczały w niebogłosy ptaszki.

— Nie bójcie się, szczebiotki, nic wam nie bę-



dzie — uspokajali rodzice — do wszystkiego można się przyzwyczaić.

— Och! żeby to prędzej urosnąć! — wołały młode jaskółki. — Gdybyśmy umiały latać tak, jak duże ptaki, tobyśmy pofrunęły daleko, daleko, tam, gdzie cicho i spokojnie.



Minęło kilka tygodni.

Ptaszki dostały piórek, skrzydełka im urosły, już wylatują z gniazdka.

Zaraz rodzice zaczęli ich uczyć łapać komary i muchy, pokazywać, gdzie szukać pajaków.

A gdy się zbyt la-



taniem zmęczyły, to leciały na wypoczynek do gniazdka.

Pewnego dnia przy końcu lata młode ptaszki spostrzegły mnóstwo jaskółek siedzących na wieży kościoła. Od czasu do czasu gromadki ich zrywały się, latały niespokojnie, piszczały, widocznie nawoływały swe towarzyszki.

— Co to znaczy? — pytają młode ptaszki.

— Polecimy do ciepłych krajów. Niezadługo nie będzie tu ani jednej muszki, ani jednego komara, pomarłybyśmy z głodu.

Nazajutrz i nasze jaskółki zabrały swe dzieci i pofrunęły na wieżę kościelną.

Zastały tam jeszcze więcej ptaszków, niż wczoraj, a coraz przybywały nowe.

Potem wzbiły się wszystkie w górę i poleciały, hen! hen! aż za morze.



# J A S K Ó Ł K I

## II

**I**nie było jaskółek przez całą jesień, zimę i wiosnę. Nadeszły znowu dni ciepłe, pogodne. Ukazały się owady i pająki, a za nimi przyleciały i jaskółki.

Każda z nich po powrocie odnajdywała natychmiast swe gniazdko przeszłoroczne.

Jak one je odnalazły, pozostanie to ich tajemnicą; po czem jaskółki gniazdo swe odróżniają — niewiadomo; bo dla ludzi wszystkie gniazdka wydają się jednokowe.

Przyleciały i nasze młode jaskółeczki; urosły tak duże, jak ich rodzice, i zaczęły zaraz lepić swoje własne gniazdka, ale także pod mostem.

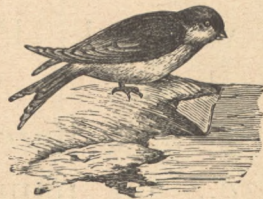
— Cóż się stało? — pyta matka — chcecie mieć



gniazdko pod mostem? A tak narzekałyście dawniej  
na turkot i hałas, tak pragnęłyście ulecieć w miejsce  
spokojne?

— Prawda, jest tu niespokojnie i hałaśliwie — ale  
miło: tuśmy się wychowały, tu mamy swoich bliskich  
sercu, tu zostaniemy na zawsze — powiedziały jaskółki.

I tak też uczyniły.





# Z Ł A M A N A      G A Ł A Ź

**B**YŁ śliczny dzień. Rzeczulka płynęła wesoło przez łąkę. Kwiaty postroiły się już w kolorowe sukienki. W powietrzu było cicho, ciepło i wonnie. Motyle i osy kąpały się w promieniach słońca.

Każde stworzenie cieszyło się życiem własnym i cudzem.

Wtem dmuchnął wietrzyk. Przeleciał nad wodą, nad łąką i wpadł do lasu.

Poruszyły się wierzchołki drzew, rozległ się cichy szept: Jak nam dobrze... jak nam dobrze...

Naraz posłyszano jakiś jęk w lesie.

— Co to jest? — pyta sosna.

— Ktoś płacze — powiada olszyna.



Ten głos żalсны  
wydawała brzoza,  
która stała na brzegu  
lasu.

— Czemu skrzy-  
pisz — pytały rośliny  
— gdy wszystkim  
tak wesoło?

— Ach, moje dro-  
gie, jakże mam nie  
skrzypieć, nie jęczeć,  
gdy cierpię! Czy nie  
widzicie mojej gałęzi  
opadłej? Jakiś chłó-  
piec, przechodząc,  
złamał ją. Jeszcze  
mam świeże rany.





Czyż mogę wydać inny głos, prócz jęku? Bawcie się, jeżeli wam dobrze, a mnie pozwólcie od czasu do czasu jęknąć z bólu, bo wytrzymać nie mogę.

Znowu drzewa zaczęły ruszać swemi wierzchołkami, kwiatki nadal kiwały główkami i strumyk szumiał, jak dawniej — ale już nie było tej wesołości i już nie tak ładny był dzień i łąki, i pola.

W powietrzu unosił się smutny jęk brzozy.



# S P R Y T N Y A N T E K

**A**NTEK ma lat pięć i pół, już od roku chodzi do ochronki.

W lecie przebywa w niej prawie cały dzień, ale w zimie krócej, bo słońce wcześniej zachodzi, trzeba za dnia do domu wracać. A mieszka Antek od ochronki kawał drogi.

Było to na jesieni. Idzie razu jednego Antek do domu i myśli sobie: — Jeszcze widno. Pójdę przez las, orzechy podejrzewały i spadają na ziemię — to sobie zbieram.

Jak pomyślał, tak zrobił.

Orzechów było w lesie niedużo. Nim Antek znalazł kilka, już i noc zapadła.



Ogląda się chłopiec i nie poznaje, gdzie jest.

Poszedł przed siebie, sądził, że wyjdzie na drogę, a tymczasem niema końca drzewom. Idzie w drugą stronę — to samo.

Zbłądził.

A tu i noc zapadła. Strach go przejął.

Staął przy drzewie i płakać zaczął.

— Co ja pocznę? W lesie pełno zwierząt, żmij, wilków, niedźwiedzi, borsuków... Poczują człowieka i zjedzą go żywcem.

— Ahu! ahu! hop! hop! — woła Antek. Ale nikt go nie słyszy.

Wtem coś się poruszyło.

— Aj-ej! — krzyknął chłopiec i zaczął wlażyć na drzewo. Drapał się jak wiewiórka, aż nareszcie dostał się do dużej gałęzi i usiadł, żeby spocząć.





Drzewo było wysokie. Zaczął się mały rozglądać wokoło — widzi zdaleka światełko.

— Pójdę w tym kierunku, natrafię na jakąś chałupę.

Złazi Antek, prędko przesuwa się przez las, głośno coś wykrzykuje, żeby mniej czuć strachu, no i nareszcie doszedł do domu leśnika.

Otwiera drzwi i jak dorosły powiada:



„Niech będzie pochwalony”.

W izbie siedział gospodarz z żoną za stołem i jedli wieczerzę.

— A ktoś ty taki? — pyta gajowy.

— Antek Jarucha... — odpowiada nieśmiało.

— Skądżeś się tu wziął?

Chłopiec opowiedział całą swoją przygodę.

— A wiesz ty, jak twoja wieś się nazywa?

Antek, choć mały, ale wiedział doskonale, jak się nazywa i gdzie mieszka, bo tego się w ochronce uczył.

— Toś ty, biedaku, w inną zupełnie stronę zaszedł. No, siadaj teraz z nami. Posilisz się, przenocujesz, a jutro jakoś poradzimy.

Podziękował chłopiec. Markotno mu było u obcych ludzi noc spędzać, ale zawsze lepiej, niż w lesie.



Nazajutrz gospodarz odprowadził Antka do domu.

— Szczęście twoje, mały, żeś wiedział, jak się twoja wieś nazywa, bobyś był marnie zginął — powiedział mu gajowy na pożegnanie.





## O D W A Ź N E K U R C Z Ę

**P**O podwórku chodzi spore kurczę. Taki sobie kogucik. Okrutnie zadowolony z siebie.

Od paru dni robi, co mu się podoba: sam sobie wynajduje pokarm, sam chodzi do kałuży, gdy chce wody się napić, sam wchodzi na śmietnik i sam wraca do kurnika po zachodzie słońca. Dawniej było inaczej: musiał we wszystkim słuchać matki, musiał ciągle trzymać się swych braci i sióstr, małych kurcząt, które mu nieraz dokuczały.

— Kto ma taki dziób, jak mój — myśli kurczę — nie potrzebuje bać się niczego. O kamień mogę nim uderzyć i nie złamię się.

Potem nóżkami rozgrzebał piasek, znalazł liszkę —





zjadł; grzebał dalej, aż glista z ziemi wypęzła — i ją też połknął.

I zaczął czyścić dziobek.

— Będę dalej kopał. Może znowu coś się dostanie, bo mógłbym cały dzień jeść, byle coraz co innego.

A wtem jakieś dziwne stworzenie o czterech nogach wylazi z ziemi.



— Mam znowu jakiś osobliwy przysmak — cieszy się kurczę i łapą przyciska.

Ale to się nie podobało przybyszowi; szarpnął się mocno i przewrócił naszego kogucika.

Jak nie zacznie kurczę wołać i krzyczeć:

— Ratunku! ratunku! Porywają mnie, zabijają!

Przerażona kwoka pędzi, co ma siły, za nią kogut i inne kury.

— Co się stało? — pytają, podnosząc kurczę wyłęcznione.

— Potwór, jakiś potwór! — krzyczy mały.

Oglądają się dokoła kury. Patrzą — a tu mała jaszczurka biegnie sobie po piasku i dziwi się pewno, że mogła kogo nastraszyć.



P O D R O D Z E

**W**ALEK wracał z miasteczka: matka go tam wysłała po mąkę.

Idzie wolno i dźwiga worek na plecach. Sprzykrzyło mu się trochę: droga daleka i worek nie lekki. Wtem widzi — wóz nadjeżdża.

To wieśniak z sąsiedniej wsi wraca do domu.

Lejce przywiązał do wozu i drzemie. Szkapa mądra, wie kędy droga prowadzi — sama dowiezie.

Obejrzał się Walek i tak myśli:

— POCO mam dźwigać worek? Lepiej położę go na wóz. Jedzie w tę samą stronę. Chłop ani się spostrzeże, jak mi mąkę dowiezie.

Jak pomyślał, tak zrobił.



Teraz worek leży na wozie, a chłopak idzie za nim. Swobodnie mu i wesoło: to podskoczy, to kamyk podniesie, to poziomek uzbiera.

— Słońce jeszcze wysoko — mówi Walek — niedługo w domu będę.

Patrzy — nadjeżdża cyklista. Dziwi się Walek, że maszyna o dwóch kołach, a tak prędko jedzie.

Koń też nigdy roweru nie widział — spłoszył się i zaczął unosić.

— Stój! — woła chłopiec — stój! Moja mąka! — krzyczy Walek coraz głośniej. — Sąsiedzie, zatrzymajcie konia!

Ale sąsiad nie słyszał, a koń zatrzymać się nie chciał, i tylko tumany kurzu unosiły się w górę. Spłakany chłopiec wrócił do domu z pustymi rękoma.





— A gdzież mąka? — pyta matka.  
— Pojechała do sąsiedniej wsi.  
I opowiedział, jak to z workiem było.



Zgniewała się matka na chłopca i kazała iść po mąkę, boby na jutro chleba zabrakło.

Trudno — musiał pójść chcąc nie chcąc.

Nim odnalazł chłopca, nim wytłumaczył się ze wszystkiego, zeszło do wieczora. Dobrze po zachodzie słońca wrócił do domu.



# N I E R O Z W A Ż N Y M O T Y L

**B**YŁA sobie łąka; na niej rosło dużo kwiatów —  
i białych, i żółtych, i czerwonych.

Dowiedziały się o tem motylki i przyleciały na łąkę. Usiadły na kwiatkach, powsuwały języczki głęboko i zaczęły sok wypijać.

Sok był słodki i bardzo smakował motylom.

Siedzą motylki na kwiatkach, a tu chmury nadchodzą.

— Deszcz będzie — myślą motylki — skrzydełka nam zmokną. Trzeba wracać do domu.

I poleciały ukryć się pod listkiem.

Ale jeden motylek wciąż siedział i siedział.

— Może nie będzie deszczu, a sok taki smaczny — myśli motylek — napiję się jeszcze trochę.





Naraz spada mu duża  
kropla na głowę.

— Oj, źle! — myśli —  
trzeba uciekać.

A tu i druga kropla spa-  
da, i trzecia, i jeszcze kilka.  
Motylek cały mokry upadł  
na listek i leżał jak nieżywy.

— Umieram — woła —  
ratujcie!

Ale nikt nie usłyszał je-  
go wołania i nikt na ratu-  
nek nie przyszedł.

Nareszcie deszcz ustał.

Przyszło słońko, zoba-  
czyło motylka i zaczęło go  
osuszać.



Wysuszyło najpierw jedno skrzydełko, potem drugie.  
Motylek podniósł się, a wtedy słońko ogrzało i wysuszyło trzecie i czwarte skrzydełko.

— Nareszcie! — zawołał motylek. — Żyję jeszcze!  
Dziękuję ci, słońko dobre, piękne moje! dziękuję!

I poleciał.

Ale odtąd, gdy spotkał młode motylki, to zawsze mówił:

— Uciekajcie przed deszczem, bo nie zawsze słońko świeci i nie zawsze nas ogrzeje.





JĘDRUŚ miał trzy lata dopiero, ale był zdrow, silny i prędko biegał. Czasem na pole zajdzie i nie zmęczy się.

Razu jednego matka wyprowadza Jędrka przed dom i powiada:

— Baw się tu grzecznie, synku, a ja pójdę ziemniaków nakopać. Bądź grzeczny! A nie odchodź daleko.

— Będę grzeczny — przyrzeka chłopiec.

Poszła matka, a Jędrak usiadł na piasku i przesypuje miseczką. Wkrótce jednak znudziło mu się, wstał i zaczął gonić kury.

Ale kury przeskoczyły płot i uciekły do ogrodu.





Wtem prosiak z chlewu ryj wysuwa i kwiczeć zaczyna.

— Cicho bądź — powiada Jędrak.

A prosiak jakby umyślnie coraz głośniej kwiczy.

— Przestaniez? — pyta chłopiec. — Czekać, ja ci pokażę.

I porwał suchą gałąź z ziemi, chcąc go uderzyć.



Prosiak tymczasem pchnął drzwi i z całej siły na ulicę wyskoczył.

Jędek biegnie za nim, ledwie gałąź dźwiga, ale usiłuje go dogonić.

— Ja ci dam! — krzyczy chłopiec zagniewany.

A wieprzek ucieka, już przez rów przeskoczył. Jędrus zamachnął się z całej siły dużą gałęzią, gdy wtem... bęc! spada do rowu.

Z początku bardzo się przeląkł i nie wiedział, co się z nim dzieje, a potem rozejrzał się i strasznie krzyczeć zaczął.

Aż matka zdaleka posłyszała i chłopca z rowu wyciągnęła.

Długo jeszcze płakał Jędrus; nie uspokoił się, dopóki nie dostał ziemniaków z okrasą.

A tymczasem prosię już pode drzwiami kwiczało, dopominając się też o kolację.



# N A R A D A     D R O B I U

## I

**P**EWNEGO wieczora zebrały się kury w kurniku. Spać jeszcze im się jakoś nie chciało, więc zaczęły rozmawiać, nowinki dnia opowiadać.

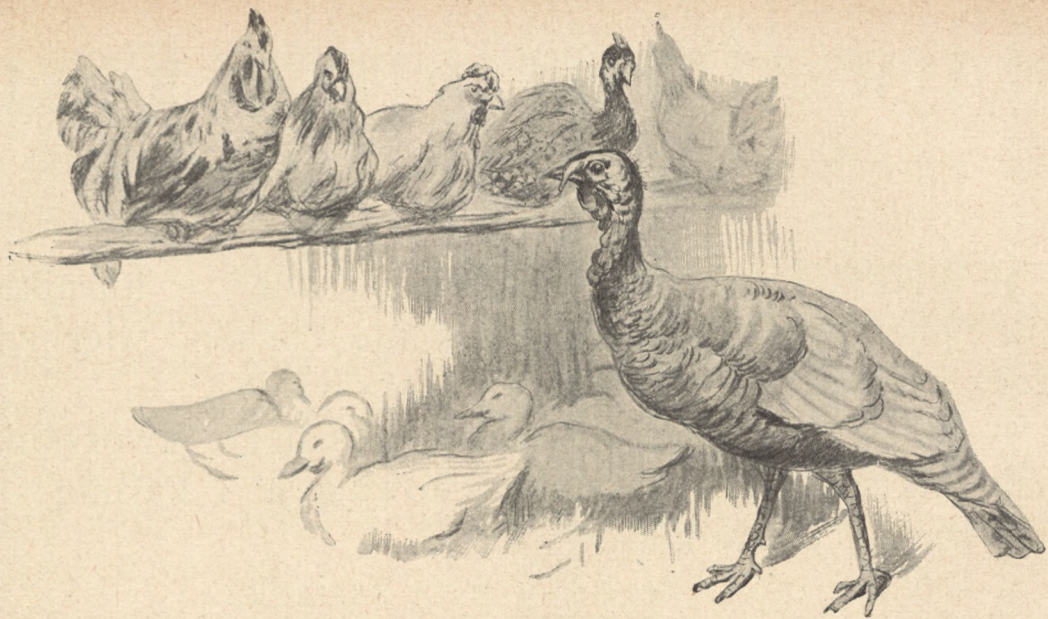
— Czy uważałaś, że ludzie z każdego stworzenia mają jakiś pożytek, dlatego chowają je i karmią — odzywa się jedna kura.

— No, i cóż z tego? — pyta sąsiadka.

— A powiedz mi, jaki pożytek z tego kundla, co siedzi w budzie? Wałkoń ten nic, ale to nic nie robi przez cały dzień; biega, je i śpi — to całe jego zajęcie.

— Masz słuszność, na nic się nie zda za życia, a i po śmierci jest na nic: ani to mięso dobre, ani skóra.





— Co tam o pożytku mówić — wtrącił kogut — same szkody wyrządza: nie dalej jak wczoraj czubate piórka wydarł z ogona; a kurczę kwoki gdzieś tak zapędził, że dotąd nie wróciło.

— Prawdę mówicie — zawołała z ziemi kaczka —



pies jest obrzydliwe stworzenie: wczoraj też niewiadomo poci tak przyczepił się do mnie, ażem się dwa razy przewróciła. Szkodnik! nic więcej.

— Czekaście, gaduły — odezwał się indyk — nie wam sądzić o pożytku psa. Wstrzymajcie się trochę. Niech ja pomyślę, a powiem wam coś mądrzejszego.

I zaczął indyk myśleć; myślał, myślał, aż się kury i kaczki pospały, nawet kogut drzemał.

Obejrzał się indyk wokół, chciał już odezwać się, ale nie było komu słuchać. Mocno niezadowolony stulił szyję i łeb w pióra schował.

— Ordynarne ptactwo — myśli sobie — chce, żebym mówił... i zasypia.

Ale niezadługo oczy zaczęły mu się kleić i uczynił to samo.



# N A R A D A      D R O B I U

## II

**M**INEŁA noc, minął dzień, przyszedł wieczór i znowu ptactwo zebrało się w kurniku.

— No, i cóż powiecie, kumie? — pyta kogut. — Wczoraj myśleliście tak długo...

— Podług mnie — zaczął z powagą indyk — pies jest to bardzo szkodliwe zwierzę. Ile razy zabełkoczę, ujada nie wiedzieć czego.

— To mi mądre rzekł słowo, — mówi czubatka — trzeba było noc całą nad tem myśleć.

— I takiego psa nicponia ludzie nie zabiją — mówi perliczka.

— Ale naszym obowiązkiem byłoby to uczynić — odezwał się kaczor. — Czy to słabe mamy dzioby?



czy to nas za mało? czy to nie potrafimy obronić siebie? — wołał, unosząc się coraz więcej. — Gdybyśmy wszyscy napadli na niego, rozdziobalibyśmy go w jednej chwili.

— Świetny pomysł! brawo, kaczorku! — wykrzykuje indyczka.

— Dobrze, doskonale, wybornie! — wołały kury, a za nimi kaczki, indyczki i perliczki.

— Precz, precz z kundlem! — krzyczano ze wsząd.

I postanowiono nazajutrz w południe, gdy pies będzie spał przy budzie, rzucić się na niego i zadziobać.

A tymczasem tej samej nocy zakradł się lis na podwórko, podkopał się i już włązi do kurnika. Ptactwo już dawno spało i nie wiedziało, jakie mu grozi niebezpieczeństwo.



Pies też spał w budzie, ale poczuł lisa, zerwał się i zaczął szczekać, ujadać z całej mocy, aż lis się przeląkł i uciekł.

Nazajutrz o świcie dowiedziały się o tem kury, kaczki i indyczki. No, i musiały kundlowi życie darować, bo przekonały się, że i pies na coś się przydać może.





# A G R E S T      K A C H N Y

**B**YŁA sobie mała dziewczynka, imieniem Kachna. Mieszkała ze swoją matką na wsi w małej chałupce.

Przy domu był ogródek, a w nim buraki, kapusta, kartofle i inne warzywa. Na środku rosły dwa krzaki agrestu.

Krzaki owe matka oddała Kachnie.

— Pilnuj ich dobrze. Gdy urosną, będą miały owoce: będziesz jadła agrest czerwony.

Dziewczynka cieszy się bardzo, bo lubi agrest, i ciągle do ogrodu zagląda.

Jedno ma zmartwienie: do ogrodu przedostają się kury i matka co chwila woła:



— Kachna, wypędź kury z ogrodu.

Dziewczyna biegnie i nieraz dobrze się namorduje, nim je wyrzuci.

Zaledwie usiądzie przy lalce lub przy innej zabawce, a tu znowu słyszy:

— Kachna, czy nie widzisz, że pełno kur w ogrodzie? Nudziło to bardzo dziewczynkę.

Razu jednego matka poszła do roboty na cały dzień i powiada:

— Masz obiad przy piecu i mleko na półce, a pilnuj mi domu. Wrócę dopiero nad wieczorem.

— Dobrze — pomyślała Kachna — ale za kurami uganiać się nie będę. Niech mam choć jeden dzień pokoju.

Zajęła się dziewczynka to tem, to owem, i czas prędko zleciał. Nad wieczorem biegnie zobaczyć, czy agrest się już zarumienił.





Patrzy... a tu kury i indyki obstąpiły krzewy  
i wszystkie owoce z dołu poobjadały.



— A sio! wy niegodziwe! — krzyknęła dziewczynka i dużą różgą wygania natarczywe ptactwo.

Ale jakże się zmartwiła, gdy obejrzała agrest! Za-  
ledwie kilka środkowych gałązek miało owoce.

Teraz już wie, dlaczego trzeba przed drobiem  
strzec ogrodu.





# D W A J P R Z Y J A C I E L E

## I

**P**ODWÓRZOWY pies Bąk, uwiązany na łańcuchu, siedział cały dzień przy budzie i pilnował domu.

Ale ta niewola przykrzyła mu się niezmiernie: nieraz wył przeraźliwie, a czasem ogarniał go taki gniew wściekły, że rzucał się na każdego przechodnia i byłby prawdopodobnie niejednego pokaleczył, gdyby nie żelazny łańcuch, który trzymał biedaka na uwięzi.

W tym samym domu mieszkał mały chłopiec Jurek. On niezmiernie lubił Bąka i żałował go bardzo, widząc jego smutne życie. Chcąc mu chociaż w części osłodzić dołę, przynosił mu nieraz resztki z obiadu, kawałki chleba, mięsa, kości lub skórki z wędlin.

— Biednyś ty, piesiu — mawiał przytem Jurek,



glaszcząc Bąka — musisz siedzieć ciągle przy budzie, nie możesz biegać ani figlować. Gdyby mnie tak przywiązano, nie wytrzymałbym nawet jednego dnia, zamartwiłbym się. Prawda, piesku, że ci jest źle na świecie?

— Hau, hau! — szczechnął pocichu Bąk, jakby chciał odpowiedzieć: — Prawda, Jureczku, bardzo mi się nudzi.

A wtedy Jurek mówił dalej:

— Gdy urosnę, nikogo nie będę więził, zniszczę łańcuch, stajni ani obory nie będę zamykał. Niech wszyscy mają swobodę. Prawda, piesku?

— Hau, hau! — skowyczał pies, patrząc na chłopca swemi rozumnymi oczyma.



# D W A J P R Z Y J A C I E L E

## II

**P**EWNEGO dnia mama zawołała Jurka i rzekła:

— Mój synku, jutro są twoje urodziny. Chciałabym ci zrobić jaką przyjemność. Może chcesz zaprosić do siebie dzieci? Przygotuję wam czekolady na podwieczorek.

Jurek się zamyślił, a później rzekł żywo:

— Nie, mammo. Nie chcę prosić dzieci. Wolałbym co innego...

— Więc powiedz mi swe życzenie.

— A spełnisz, mammo, wszystko, o co poproszę?

— Jeśli to będzie możliwe.

— Ach, mammo droga! takbym chciał, żeby Bąk przez ten jeden dzień był wolny, bez łańcucha.



— Gotowa jestem spełnić twe życzenie, moje dziecko, ale wiesz przecież, że Bąk jest bardzo zły, może pogryźć i pokaleczyć ludzi.

— Będę go pilnował, mamó! Zobaczysz, Bąk będzie grzeczny.



Mama spełniła prośbę chłopca i na drugi dzień uszczęśliwiony Jurek oswobodził psa z uwięzi.

Cóż to za radość była!

Bąk skakał z wielkiej uciechy, skowyczał, rzucał się chłopcu pod nogi. Gdy po



pierwszym wybuchu radości uspokoił się nieco, obejrzał się i nagle, jak wicher, puścił się w pole.

Niedługo jednak był na tej wycieczce, a gdy z niej powrócił, ani na chwilę nie odstępował Jurka. A przytem na swobodzie tak złagodniał, że chłopiec nie miał wielkiego kłopotu z pilnowaniem, aby kogo nie skaleczył.

Jurek nie mógł się dość nacieszyć radością psa i bawił się z nim przez cały dzień, a było mu tak dobrze i wesoło, jak nigdy.

— To są najprzyjemniejsze moje urodziny — mówił chłopiec wieczorem do mamy — szkoda tylko, że tak długo muszę czekać na drugie.



## S T R A C H   W   Ś C I A N I E

**B**YŁA raz mała dziewczynka, imieniem Irenka. Miała lat pięć i mieszkała w małym domku drewnianym.

W dzień bawiła się i biegała po domu, po podwórku i ogrodzie. Wieczorem siadała koło swej mamy, by się czemkolwiek zająć: to rysowała, to wycinała, a czasem oglądała obrazki.

Pewnego wieczora mama czytała książkę, a Irenka, siedząc przy niej, nalepiała w zeszyte zasuszone kwiatki. Było bardzo cicho i spokojnie.

Naraz ktoś zapukał leciutko w ścianę, jakby szpilką po drzewie.

— Kto puka? — pyta Irenka.



Wstała, poszła do drugiego pokoju — nikogo nie było.

Usiadła przy robocie. Za chwilę znowu słyszy:

— Puk, puk, puk!

— Mamo, ja się boję! Kto to wciąż stuka?

— Nie bój się, dziecko. Pewno jakiś owad toczy drzewo.

— Puk, puk, puk! — wciąż kołatało w ścianie.

Irenka przytuliła się do mamy.

— Moja mamusiu, to pewno jakiś strach w ścianie siedzi, a może jaki krasnoludek.





Wtem na zegarze uderzyła godzina ósma. Czas zabierać się do spania.

Irenka uściskała matkę na dobranoc i prędko pobiegła przez pokój.

— Jeszcze mię krasnoludek gotów porwać — pomyślała sobie. — Nianiu, boisz się strachów? — zapytała.



— Jakie tam, serce, strachy, kiedy ich niema na świecie.

— Są, nianiusiu, są na pewno w ścianie jadalnego pokoju.

Minęło kilka dni.

Irenka przebierała lalkę, gdy zawołała ją mama.

— Patrz-no, córuchno, jak wygląda ów strach, który ciebie tak straszyl któregoś wieczora.



I matka trzymała na dłoni małego czarnego żuczka, który przed chwilą wyszedł ze szpary.

— A czemu pukał? — pyta dziewczynka.

— Bo mu się jeść chciało, więc usiłował urwać kawałek drzewa spróchniałego i dlatego kołatał, stąd też „kołatką” się nazywa.

I przekonała się Irenka, że w ścianie nie było ani stracha, ani krasnoludka.

I teraz biegnie prędko do niani, aby powiedzieć, że naprawdę niema strachów na świecie.



# W I A T R A K

**W**ŁADEK jeszcze śpi. Ale słońko już dawno wstało i idzie coraz wyżej, coraz wyżej i wnet wszystkie promienie na świat rzuci.

Jeden promień wszedł do pokoju Władka i obudził chłopczyka.

— Ach, jakie słońko, jak ładnie! Jak to dobrze, jak dobrze! — wołał chłopiec. — Pójdę dziś do wiatraka, tak, na pewno pójdę, bo mama powiedziała sama: „Gdy jutro będzie ładnie, pójdziemy do młyna”.

Prędko zerwał się Władek z łóżka i zaczął się ubierać. Potem umył się, zmówił paciorek, powiedział „dzień dobry” rodzicom i służbie i poszedł na śniadanie. Pije Władek mleczko, a tu zaczyna się chmu-



rzyć coraz więcej, po-  
ciemniało zupełnie i  
deszcz zaczął padać.

— Mamo! — woła  
chłopiec — deszcz,  
deszcz... pada... do  
młyna nie pójdziemy...

I zaczął płakać.

Matka tuli chłop-  
czyka, pociesza: „Nie  
płacz, synku, jutro się tam  
wyberzemy”.

Ale Władek właśnie dziś  
ma ochotę.

— A wiesz co — powiada mama — zrobimy wia-  
traczek; będzie się obracał, jak prawdziwy. Poszukaj  
jakiegoś patyczka.





Chłopiec ruszył się wolno. A matka tymczasem wycinała z papieru kwadrat, potem przegięła go na pół, rozwinęła; jeszcze raz przegięła i nożyczkami po rowkach cięła do środka. Potem wzięła róg każdego przeciętego kawałka i przypięła szpilką do patyczka.

— Wiatraczek już gotów. Teraz trzymaj przed sobą i biegnij.

Chłopczyk tak uczynił i wiatraczek zaczął prędko się obracać.

Jeszcze łezki wisiały na rzęsach Władka, a on już się śmiał i cieszył z nowej zabawki.

Spróbował sam zrobić podobny wiatraczek i to tak go zajęło, że zapomniał o swoim zmartwieniu.

Do prawdziwego młyna pójdzie pewno jutro, lub innego dnia, gdy będzie ładnie.



CO WIECZÓR chłopcy zbierali się na placu i urządzali zabawę. Tym razem rzucali kamieniami do wróbla. Ptaków było mnóstwo. Zlatywały się zewsząd, ażeby pozbierać ziarna.

— No, chłopaki — woła Wacek — kto trafi dziś do wróbla, ten będzie zwycięzcą.

— Dobrze — krzyczy ktoś zdaleka — podniesiemy go w górę i będziemy wołać: „Niech żyje!”

Posypały się wnet kamienie ze wszystkich stron. Ale trafić do celu jest bardzo trudno.

— Żeby mi się też choć raz w życiu udało zabić wróbla, tobym się ucieszył — myśli Bolek i celuje; a uderzenie było tak trafne, że ptaszek padł na miejscu.



— Trafiał! brawo! — woła Oleś. — Kto zabił?

— Bolek, Bolek! — wołają chłopcy. — Brawo! Bolek zwycięzca.

Bolek zbliżył się do zabitego ptaszka i naraz ogarnął go strach niewypowiedziany.

— Zabójca jestem! — pomyślał sobie.

Wróbel leżał na bruku z wyciągniętymi łapkami.

— Do góry Bolka, do góry zwycięzcę! — krzyczą chłopcy i zbliżają się do Bolka, żeby go podrzucić.

Ale chłopiec odtrącił towarzyszy.

— Dajcie mi spokój, dosyć mam zabawy.

Spojrzał raz jeszcze na nieżywego ptaszka i poszedł do domu.

— Zbrodniarz ze mnie, nie zwycięzca — pomyślał.

— Nie chcesz, to nie trzeba! — wołał Władek — obejdzie się i bez ciebie. Chłopcy, zabierajmy się do roboty. Kto pierwszy trafi do ptaka.



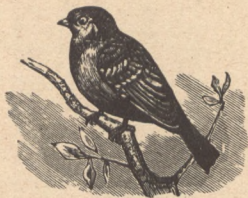


— O, o mało com nie zabił — wołał ktoś zdaleka. — Zaraz go położę!  
Ale Bolek już tych krzyków nie słuchał.



Wrócił do domu, chciał zająć się czem innem, ale obraz martwego wróbla stał mu przed oczyma.

— Jaka to okrutna zabawa! — myślał wciąż. — Biedny wróbel już nie żyje!... A nie żyje przez naszą swawolę.





## S Z C Z E G Ó L N A   Z A B A W A

**A**NTEK i Marylka bawią się w ogrodzie. Wtem słyszą — bryczka nadjeżdża.

— Goście jadą! — woła Antek. — Chodźmy zobaczyć, kto przyjechał.

Zaledwie dzieci wyszły na ganek, wybiegają ich dwaj kuzynkowie. Ucieszyły się bardzo dzieci z przyjazdu krewniaków i rówieśników.

— Franek! Pawełek! — krzyknęły i zaczęły witać gości.

— Chodźmy na podwórko — powiada Antek — pokażemy wam naszego dużego psa Targaja.

— Dobrze, dobrze! — zawołali jednogłośnie chłopcy i pobiegli.



Pies zdaleka dojrzał dzieci i w kilku susach był już przy nich, łasił się, ogonem wywijał, niby witał gości.

Niedługo rozpoczęły się zabawy, gonitwy, aż wkońcu wszyscy się pomęczyli.

— A teraz co będziemy robili? — pyta Antek.

— Ja tam już żadnej zabawy nie chcę, chyba wymyślicie taką, w którą nigdy nikt jeszcze się nie bawił.

— Mądryś! — odpowie Franek — takiej zabawy chyba niema na świecie.

— Mam taką zabawę. Zaraz pokażę — woła Marylka.

I pobiegła.

Dzieci zaciekawione wyglądają jej teraz niecierpliwie. Za chwilę słyszą turkot; to Marylka wiezie wózek od kwiatów, a zaprzęgnięty do niego Targaj pomaga jej ciągnąć.





— No — woła — siadajcie, chłopcy! będziecie blaszkami z mlekiem, a my z Targajem zaczniemy was po domu rozwozić.

— Brawo! — krzyknęli chłopcy i w jednej chwili znaleźli się na wózku.



Marylka była najstarsza i najsilniejsza i łatwo z psem razem wózek posuwała. Dowiozła do ganku.

— No, tu muszę jedną blaszkę zostawić!

I pomogła Frankowi zejść z wózka. Jedzie dalej.

Przy furtce wypuściła Antka, przy ogrodzie Pawelka. A teraz ma lekki wózek, więc prędko biega razem z psem koło klombu.

— Marylko — woła Franek — już jestem pustą blaszką, zabierz mnie zpowrotem.

I dziewczynka znowu w tym samym porządku zabiera braciszków na wózek.

— Dobra zabawa — powiadają chłopcy — jeszcześmy takiej nigdy nie mieli.



# CZEGO SIĘ STASIA NA WSI NAUCZYŁA

## I

**B**YŁO lato. Stasia wyjechała z mamą na wieś. Wynajęto letnie mieszkanie w wiejskiej chałupie, otoczonej małym ogródkiem.

— Moja mamusiu — powiada Stasia — okrutnie mi się tu będzie nudzić. W jaki sposób mam się bawić, gdy nie mam ani lalki, ani piłki, ani wózka?

— Pójdź na podwórko — powiada mama — zobacz, jak się bawią dzieci wiejskie, które też nie mają ani piłki, ani lalki.

— Czy się dzieci wiejskie umieją bawić? Ciekawam — pomyślała dziewczynka. Ale rady matczynej usłuchała i poszła.

Niedługo ujrzała na murawie, tuż przy domu, gro-



madkę małych dzieci, które trzymały się wszystkie razem i widocznie urządzały jakąś grę towarzyską.

Stasia zbliżyła się do nich i oparła o drzewo, przyglądając się uważnie.

Kilka starszych dziewczynek chodziło wkoło, trzymając się za ręce i śpiewając piosenkę:

„Gralibyśmy w konopki, w konopki,  
Ale małe we snopki, we snopki.  
Mało nas, mało nas,  
A ty, Janku, chodź do nas”.

A wtedy mały chłopczyk, Janek, który siedział opodal, zbliżył się i wszedł do koła.

Znowu dzieci zaśpiewały piosenkę tę samą od początku i zawołały na Kasię, potem na Antolka, a koło coraz to się zwiększało.



— Jak panience na imię? — spytała starsza dziewczynka Stasi.

— Stasia! — odpowiedziała nieśmiało.

Niedługo posłyszała tę samą piosnkę: „Gralibyśmy w konopki, w konopki, ale małe we snopki, we snopki; mało nas, mało nas, a ty, Stacho, chodź do nas”. Dziewczynka prędko podbiegła i podała ręce w kole; a że piosenka była łatwa do zapamiętania, więc razem ze wszystkimi śpiewała, obracając się wkoło.

Gdy już wszystkie dzieci weszły do koła, zaczęły się obracać w przeciwną stronę i zmieniły trochę treść piosenki:

„Gralibyśmy w konopki, w konopki,  
Ale małe we snopki, we snopki.  
Dużo nas, dużo nas,  
A ty, Zośko, precz od nas”.

I przy tych słowach Zosia wychodzi z koła.



Bardzo przyjemnie zeszedł czas Stasi na zabawie. Odtąd postanowiła zawsze bawić się z wiejskimi dziećmi.

— Wcale nie są takie głupie, jak mi się zdawało — myślała Stasia, wracając do domu. — A jakie grzeczne, odrazu zaprosiły mię do zabawy, choć nie znały wcale. Pocziwe dzieciaki!





## CZEGO SIĘ STASIA NA WSI NAUCZYŁA

### II

**W**KRÓTCE Stasia poznała wszystkie dzieci wiejskie, wiedziała, jakie ma które imię i w której chałupie mieszka.

A i one polubiły dziewczynkę; rozmawiały, bawiły się z nią, pokazywały chałupy, w których mieszkają, chlewki, drób, krowy i wiele innych rzeczy.

I spostrzegła Stasia, że chłopci wcale służącej nie trzymają, a usługują im własne dzieci.

Antek, co ma takie jasne włoski, jak len, musi gęsi pasać; Kasia ma lat osiem, tyle co i ona — jest niańką swego braciszka małego; musi go karmić, usypiać, bawić. Mania gotuje obiad, gdy rodzice na roboty wyjdą.



— A kto wam mieszkanie sprząta? — pyta razu pewnego Stasia.

— Kto? A ja — odpowiada mała Kasia. — Rano, gdy wstanę, biore miotłę i zamiatam naprzód izbę, a potem podwórko.

Stasia wzięła do ręki miotłę, która tuż stała w kącie, obejrzała ją na wszystkie strony i pyta:

— A skąd się taka miotła bierze?

— Sami robimy — powiada Walek. — Chcesz, to ci zrobię taką.

— I owszem, proszę cię, Walku, zrób!

— W mig zrobię — odrzekł chłopiec. I pobiegł nad rów, pociął gałęzi z wierzby, pozwiązywał je razem, potem kijek włożył w środek i miotła była gotowa. Ucieszyła się Stasia, podziękowała za prezent i poszła do domu.

Nazajutrz mama Stasi wychodzi wcześniej z domu



i spostrzega, że na podwórku jest wymiecione czyściutko, w ogrodzie także wielki porządek widzi, liście pozmiatane i ławki powycierane.

— Któż mi dziś tak ładnie sprzątnął? — pyta mama. — Aż miło usiąść w tak czystym ogródku. Nie wiesz czasem, Stacho, kto tu był tak wcześniej, kto robił porządek?

— Wiem — odpowiada dziewczynka — to twoja córeczka, mamusiu. Od dziś została stróżką





Stanisławową i będzie przez całe lato zamiatać, sprzątać, kwiaty podlewać. Chcę być taką, jak tutejsze dzieci. Czy zgadza się mama?

— Chętnie godzę taką stróżkę — odpowiedziała mama i czule pocałowała córeczkę.

A Stasia po wyrazie twarzy poznała, że postanowieniem tem sprawiła matce wielką przyjemność.





# SKRZYDLATY WIĘZIEŃ

## I

**W** POKOJU nad oknem wisi klatka, a w niej siedzi czyżyk. Nie przykrzy mu się wcale, ma bowiem wszystkiego pod dostatkiem: i jedzenia i wody, a nawet wygodną kąpiel.

Dzieci pamiętają o nim i bardzo się zajmują ptaszkiem.

Co rano wsuwają do klatki kilka gałązek zielonych, żeby czyżyk miał złudzenie ogrodu.

I ptaszek przywiązał się do dzieci: zbliżał się do krat klatki, gdy przychodziły do niego, i wołał: — Kiwi, kiwi!

Ale dzieci nie rozumiały ptasiego języka.

Nawet w zimie, gdy ptaki odlatywały z naszych



lasów, czyżk im nie zazdrościł. Wiedział, że mu i tutaj dobrze będzie, że mu i w zimie dzieci przyniosą bułeczki, sałaty i nasienia, a w pokoju ciepło, jak w lecie.

Gdy na wiosnę dolatywał przez okna świeży powiew, zapach pól i lasów, ptaszek zaczynał śpiewać śliczne piosenki.

Dzieci nie posiadały się z radości.

Dawniej myślały, że się ptaszek nigdy nie przyzwyczai.

Pamiętają doskonale, jak to było dwa lata temu.

Kupiły go od ptasznika. Długi czas czyżk siedział skulony w kącie klatki, piórka miał najeżone i nie chciał przyjmować żadnego pokarmu.

Wszystkim się zdawało, że nie wytrzyma niewoli. Ale wkońcu przyzwyczaił się i teraz zdawał się być zupełnie szczęśliwym.



# SKRZYDLATY WIĘZIEŃ

## II

PRZYSZŁO lato. Państwo N. wyprowadzili się na letnie mieszkanie. Zajęli ładny domek, który stał w dużym parku.

Dzieci nie zapomniały zabrać ze sobą czyżyka. Klatkę zawiesiły nad oknem, które wychodziło na ogród i zawsze prawie było otwarte, żeby ptaszek miał dosyć powietrza.

— Czyżyk pomyśli, że jest w lesie i jeszcze ładniej śpiewać będzie. Zostawmy go samego na jakiś czas.

Ptaszek ciekawie zaczął się rozglądać w nowem otoczeniu. Patrzył na drzewo, na kwiaty, na muszki, które dokoła niego brzęczały, na ptaszki...



Było to jakieś inne, niż w mieście, a jednak зда-  
wało się, że kiedyś, kiedyś widział już to wszystko.

Cisza była dokoła. Usiadł na żerdzi. Zapach świer-  
ku dolatywał do niego i jakoś dziwnie upajał.

Wtem słyszy — na sąsiednim drzewie, odezwał  
się jakiś czyżyk. Odezwał się raz, potem drugi, niby  
głosu próbując, potem połały się dźwięki coraz pięk-  
niejsze, coraz potężniejsze i połączyły się w jedną  
pieśń majową.

— Co to? — pomyślał nasz czyżyk. — Co słyszę?  
to moja pieśń rodzinna! Rozumiem dźwięk każdy.

I zaczął przypominać sobie całą swoją przeszłość.  
Ten las... gęsty świerk, śpiew ojca... życie z braćmi  
czyżykami... swoboda... I straszna tęsknota go ogarnęła.

— Czemże dziś jestem? Co się ze mną stało?  
Ocieężałe skrzydła już nie wzniosą do lotu, ochryply  
głos niepodobny do dawnego.





— Ach, weźcie wasze przysmaki, weźcie waszą piękną klatkę — wołał czyżyk, bijąc głową o żelazne pręty — a mnie tylko jedno dajcie: swobodę! Ale dzieci nas nie rozumieją... nie rozumieją!...

Ciężko westchnął czyżyk.



Nazajutrz znalazły dzieci zemdlonego ptaszka i prawie nietknięte jedzenie.

Nie mogły zrozumieć, co się stało?

Otworzyły okno i klatkę narozcież, a wtem... czyżyk zerwał się gwałtownie i w jednej chwili znalazł się na gałązce. Otrząsnął skrzydełka i zaśpiewał na swobodzie tak, jak nigdy nie śpiewał w klatce.

Domyśliły się dzieci, czego mu brakowało.





# U P O M I N E K    G W I A Z D K O W Y

## I

**M**AMO — pyta Janek — dlaczego żebracy zawsze stoją na ulicy?

— Bo nie mają swego mieszkania — odpowie matka.

— I nocują na dworze?

— Nie, spać na ulicy nie wolno, idą więc do domu noclegowego, płacą kilka groszy i za to dostają pozwolenie spocząć na ławce.

— Proszę mamy, a gdzie żebracy obiad jedzą?

— Czasem, moje dziecko, gdy mają kilka groszy, idą do garkuchni, a gdy nie uzbierają pieniędzy, wtedy suchy kawał chleba musi im za obiad wystarczyć.

— A dlaczego nie pracują w biurze, w fabryce? Zarobiliby sobie na życie.



— Nie tak łatwo! Czyś nie zauważył, że każdy z nich jest kaleka, chory albo stary, pracować więc nie może — odpowiedziała matka.

Odtąd zaczął Janek ciekawie przyglądać się żebrakom i niedługo przekonał się, że każdemu z nich czegoś brakuje.

Bardzo się litował Janek nad tymi biednymi ludźmi. Zima tego roku była bardzo ostra.

Mróz wlaź na okna do mieszkania, szczypał przechodniom policzki, uszy i nosy. Każdy śpieszył do domu, tylko dziad stary o kuli stał na rogu Alei Jerozolimskiej.

Widział go Janek, idąc do szkoły, widział, gdy wracał do domu.

— Boże, jak mu zimno być musi — myślał chłopiec. — Jak urosnę, wynajmę duże mieszkanie i zaproszę do niego wszystkich żebraków, zapalę w piecu, niech mają ciepło.



# UPOMINEK GWIAZDKOWY

## II

**P**RZYSZŁA wigilja Bożego Narodzenia. Ruch w domu był wielki, bo dużo krewnych zjechało się na święta do domu rodziców Janka. On lubił gwiazdkę, bo dużo uciechy miewał tego wieczora, mnóstwo dostawał podarków, cały stół był niemi zastawiony. Ale dziś jakoś pusto, nic nie widać.

Rodzice wołają Janka do siebie.

— Mój chłopcze — powiada ojciec — dziś dostaniesz gwiazdkę inną, niż zwykle. Złożyliśmy się wszyscy i dajemy ci jeden upominek: jest nim mały pokoik, który wynajęliśmy w suterenie. Możesz ofiarować go jednemu z żebraków, o których tak często opowiadasz.



Za chwilę Janek był w malutkiem czystem mieszkanku, w którym stało łóżko, stolik, krzesło, miska z wodą i wisiał obrazek na ścianie.

Spełniło się to, o czym Janek oddawna marzył: ma mieszkanie, któremi może rozporządzać.

Tegoż samego dnia wraz ze służącą chłopiec odnalazł żebraka o kuli, którego znał z ulicy, zaprosił do siebie i zaprowadził do pokoju.

Nad wieczorem, gdy wszyscy krewni zasiedli do wspólnej wilji, Janek wpadł zadyszany, rzucił się na szyję ojcu i matce, ucałował ręce babci, dziadkowi i wujciowi.

— Co się stało? — pyta babcia.

— Babciu złota, nie wiem, co się ze mną dzieje, ale jest mi tak dobrze, tak wesoło, jak nigdy. Niech tylko babcia posłucha, co było. Prowadzę dziadka kulawego do pokoju i powiadam, że będzie mógł w nim

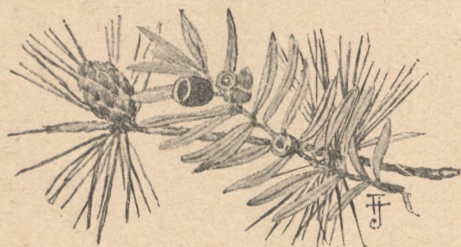


zamieszkać. Z początku nie chciał wierzyć, ale wkrótce przekonał się, że to prawda. Wtedy ukląkł i zaczął płakać. Pytam: Co ci jest, dziadku, czyś chory? Czego płaczesz? — „Ze szczęścia — powiada — ze szczęścia, że mi Pan Jezus na gwiazdkę takich dobrych ludzi zesłał, że mi nie da ponieierać się na mrozie i błocie. I tobie,





aniołku, niech Pan Jezus da zdrowie, żeś o biednym żebraku pamiętał”. — Moja mamusiu, jacy wszyscy dobrzy jesteście, że sprawiliście mi taką przyjemność! Nigdybym żadnej innej gwiazdki nie chciał.





# N O C N Y      Ś P I E W A K

## I

**N**A KOŃCU wsi stała niska chałupka, stara wi-  
dać bardzo, bo miała ściany porośnięte mchem  
oddawna. Nad nią pochylała się stara jabłoń, jakby  
przyjaciółka, i pokrywała ją gałęziami.

Może jabłoń posadzono jednocześnie z wystawie-  
niem chałupy... Któż to odgadnie?

Dokoła rosły krzaki i mnóstwo małych drzewek.

W ten zielony gąszcz na wiosnę przylatywał sło-  
wik; nikt tam go nie usiłował pochwycić, nikt nie  
płoszył — więc spokojnie siał gniazdko.

Wieczorami siadywał na gałęzce jaśminu i zaczy-  
nał wywodzić swoje trele. Śpiewał tak pięknie, tak  
rzewnie, jak żaden słowik w lesie.



— Wiadomo — mówiła zięba — że słowiki ładny głos mają, ale ten szczególnie jakoś wyśpiewuje. Co za dźwięk, co za melodja!

— Prawdopodobnie uczył się u jakich sławnych profesorów-słowików — powiada sikora.

— Sikora zawsze nie wiezieć co plecie — wtrącił kos — słowik śpiewa dlatego ładnie, że już ma takie gardło.

— Nie, sąsiedzie — odrzeczce czyżyk — w tem jest coś innego. Iluż to śpiewaków jest wśród nas, a żadnemu pieśni tak nie płyną. W tem coś innego być musi!

Długo się ptaki spierały, wkońcu postanowiły spytać słowika, gdzie się tak pięknego śpiewu uczył. Przyszedł wieczór. A gdy zgasły ostatnie promienie słońca, wszystko umilkło, nawet polne koniki przycichły.



Wtedy w krzaku jaśminowym rozległ się cudny głos słowika.

— Przepraszam pana, że przerywam — mówi sikora. — Ośmielam się spytać, od kogo pan brał lekcje śpiewu; od jakich śpiewaków?

Ale słowik śpiewał dalej.

— Nie słyszy — powiada sikora i głośniej powtarza to samo.

Znowu żadnej odpowiedzi.

— Pewno głuchy, biedak. Krzyknę głośniej.

— Panie!... panie!... pa... nie! — woła na cały głos sikora.

— Czego chcesz, krzykaczko? — spytał słowik.

— Chcemy wiedzieć, gdzie pan dobrodziej uczył się śpiewu.

— Cóż ciębie, wiercipięto, obchodzić to może?



— Nietylko mnie, panie słowiku, ale kilku śpiewaków z naszego lasu pragnie się o tem dowiedzieć.

— A no, jeśli tak, to posłuchajcie. Historja mego śpiewu jest następująca.





# N O C N Y      Ś P I E W A K

## II

**P**IERWSZYM moim nauczycielem był ojciec. Uczyl mnie całemi wieczorami. Śpiewał sam, a ja próbowałem go naśladować. Potem przysłuchiwałem się innym śpiewakom — no, i wprawilem się.

Śpiewałem prawdopodobnie tak, jak śpiewają wszystkie słowiki.

Aż razu jednego spotkało mię wielkie nieszczęście. W ciągu jednej wiosny dwa razy mi gniazdo zniszczono: raz burza porwała, innym razem zły chłopiec zabrał mi pisklęta.

Boleść była nie do wytrzymania. Matka tego nie przeżyła i umarła. Odtąd zostałem sam jeden na świecie.



cie. Stroniłem od wszystkich i tylko czasem smutek mój chciałem wylać w pieśni.

Poleciałem do lasu; ale szczebiot ptactwa dokuczał mi straszliwie.

Poleciałem do ogrodu. Tam znowu gwar ludzi i krzyk dzieci przerywały pieśń moją.

Szukałem cichego, spokojnego zakątka.

I znalazłem.

Tu, w tym domku, mieszka staruszek, sam biedak zupełnie. Czy mu krewni powymierali, czy opuścili go — nie wiem, ale nigdy nikogo tam nie widzę. Usiądzie nieraz starowina przed domem, obejrzy się dokoła, czasem się modli, a czasem myśli o czemś i wtedy często uroni parę dużych łez z oczu.

Będąc pewnego razu w tem ustroniu, zacząłem śpiewać.



Starzec zrazu nie zauważył tego, potem zaczął się wsłuchiwać i twarz mu się rozjaśniła, jakby nadzieja wstępowała do jego duszy.

A ja radbym był mu powiedzieć: — Patrz, dziadku, ja tu przy tobie, taki sam biedny, samotny, ale może i dla nas przyjdą jaśniejsze dni, może i nam kiedyś lepiej będzie.

I czułem, że śpiewam coraz lepiej, coraz dźwięczniej, coraz rzewniej...

A starzec słuchał i słuchał. Potem wrócił do





mieszkania, położył się na tapczanie słomą wyłożonym i przez otwarte okno jeszcze słuchał mojego śpiewu.

Nikt nie przerywał ciszy nocnej.

Odtąd przylatuję co wieczór w to samo miejsce.

Wiem, że śpiewem swoim niosę ukojenie i radość staruszkowi i dlatego usiłuję wlać w pieśń całą moją duszę.

Dlatego może śpiew mój różni się od śpiewu moich braci, szczęśliwych słowików.





# N A P A S T W I S K U

**A**LA przyjechała z rodzicami na wieś w odwiedzi-  
ny do krewnych.

Starsi rozmawiali, a ona wybiegła na podwórko.

— Jak tu ładnie — pomyślała Ala — co tu kwiatów! co miejsca do biegania! Szkoda, że nie mam z kim się bawić.

Idzie dalej.

Pod lasem Marysia, pastuszka, krowy pasie.

Zdaleka spostrzegła Alę i podziwia: — Jaka ładna pani, jak pięknie ubrana!

Ala miała na sobie czerwoną sukienkę, czerwony kapelusz i takąż parasolkę.



— Prawdziwa makówka — rzekła do siebie Marysia i podeszła do niej.

Ala spojrzała na ubogą pastuszkę i odwróciła się.

— Ciekawam, czy sukienka jest tak miękka, jak płatek maku — pomyślała Marysia i nieśmiało dotknęła spódniczki.

Ala szarpnęła mocno sukienkę i odwróciła się od pastuszki.

— Idź sobie, brudasie! Czego chcesz ode mnie? Dzieci chłopskie są tak głupie, że ani zachować się nie umieją, ani porządnie ubrać — pomyślała Ala.

Poszła dalej łąką.

A tymczasem krowy popodnosiły łby i jakoś dziwnie patrzyły. Jednej z nich widocznie nie podoba się czerwona sukienka Alusi, gdyż zbliżyła się do niej, nstawiając rogi.





— Ajej! — krzyknęła dziewczynka i zaczyna uciekać.  
A krowa za nią.  
Alusia rzuca parasolkę, biegnie co ma sił, krowa  
już niedaleko.



— Nie bójcie się, panienko — woła Marysia — ona wam już nic złego nie zrobi.

Odwraca się Alusia, a mała pastuszka trzyma krowę za rogi. Krowa usiłuje wyrwać się jej z rąk, ale Marysia dobywa ostatnich sił, żeby jej nie puścić.

Splakana i przestraszona, wróciła Ala do domu i opowiedziała, co ją na pastwisku spotkało.

Matka utuliła córeczkę z płaczu.

— Widzisz, jakie odważne i dobre są wiejskie dziewczynki. Czyś podziękowała tej poczciwej pastuszce?

— Nie, mamusiu. Jeszcze ci jednej rzeczy nie powiedziałam.

— Cóż to było, dziecko?

Alusia zarumieniła się.

— Ach, mamo, to było coś bardzo niedobrego: by-



łam niegrzeczna dla biednej dziewczynki... ja nawet ją zwymyślałam... nawet odtrąciłam od siebie... Ale pójdę do niej, przeproszę ją, tylko wtedy, gdy krów przy niej nie będzie.

Gdy przyszedł wieczór, Alusia pośpieszyła na łąkę i spotkała Marysię, wracającą do domu.

— Czy się gniewasz na mnie? — pyta Alusia.

— Albo co?

— Byłam bardzo niegrzeczna dla ciebie, a tyś mnie obroniła od krowy.

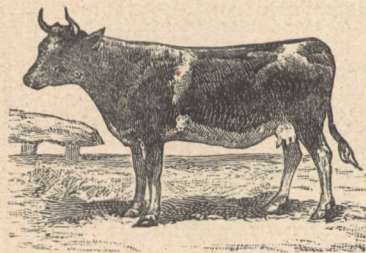
— A jakże miałam zrobić? — rzekła Marysia. — Zrobiłam to, co zrobiłby każdy na mojem miejscu.

— A co pomyślałaś o mnie, gdy cię odepchnęłam?

— Pomyślałam, że dzieci w mieście są niegrzeczne.



— Nie, Marysiu, nie wszystkie dzieci miejskie,  
tylko ja byłam niegrzeczną. Przepraszam cię, ale i ty  
się nie gniewaj i pobaw się ze mną, kiedy drugi raz  
tu przyjadę.





**N**A DUŻEJ choinie wisiała szyszka, a w niej mnóstwo nasionek. Szyszka była brunatna i nasionka także brunatne.

Nasionka rosły i szyszka pęczniała. Słońce ogrzewało nasionka, ciepło im było w szyszce i przytulnie.

— Czy my tu przez całe życie będziemy siedziały? — odezwało się jedno nasionko.

— E, chyba nie — odpowiada drugie — chyba zobaczymy coś więcej poza naszymi listkami sztywnymi.

Mijały tygodnie. Nasionka otrzymały po dwa skrzydełka, ale nie wiedziały, do czego one mają służyć. Aż tu jednego dnia poczuły szarpnięcie. To był



wiatr; dmuchnął, porwał ziarnka i poroznosił w różne strony.

Jedne rzucił na suchą ziemię, inne do wody, jeszcze inne przy drodze i tam ptaki je zjadły.

Tylko dwa ziarnka silniejsze i grubsze fruwały jakiś czas w powietrzu, potem upadły na ziemię.

Były tak zmęczone, że nic nie wiedziały, co się dokoła nich dzieje; więc przycisnęły się mocno i leżały cichutko.

Dopiero ciepły deszcz o-rzeźwił ziarnka. Poczuły w sobie nowe siły; wkrótce puściły korzonki w ziemię i kielki do góry.

Czas uchodził. Rosły dwie choinki,





a zasłaniała je przed burzą stara, rozłożysta jodła.  
To była ich prababka.

— Rośnijcie, malutkie, w spokoju — mówiła  
do nich — nic wam się złego przy mnie nie  
stanie.





PRZYSZŁA zima. Las pokrył się pięknym kobiercem. Śnieżne płatki ozdobiły gałązki choinki. Drzewa liściaste zdjęły swoje letnie ubranie, ale iglaste wystroiły się, jakby na uroczyste święto.

Nie bały się one ani mrozów, ani śniegu, bo miały coraz piękniejszą zieloność, coraz sztywniejsze igły.

Mała choinka nasza urosła. Co rok jej przybywała jedna obrączka gałązek: miała już trzy.

— O, gdyby już prędzej zostać dużym drzewkiem! Mogłabym wtedy rozglądać się po świecie; czyżyki siadałyby na moich gałązkach, śpiewałyby i wily gniazdeczka.



Około Bożego Narodzenia przyszli drwale do lasu i zaczęli wyrąbywać choinki; a wybierali zwykle najładniejsze. Potem układali na furę i wywozili z lasu.

— Co się z nimi stanie? — myślała nasza choinka. — Pojadą w świat szeroki, zobaczą coś ładniejszego. Szkoda, że nie jestem ładnym drzewkiem, jak moje siostrzyczki. Zabrali je też zaraz, ale mnie nie wezmą: jestem mała i trochę krzywa.





Gdy tak drzewko myślało, naraz jakaś duża ręka wrywa je z ziemi. Upadło. Czuło jakiś ból, jakieś omdlenie.

Choinka odżyła dopiero cokolwiek, gdy ją na dużym dziedzińcu zdjęto z woza wraz z innymi drzewkami.

Stało tu już kilka pięknych świerków.

— Fe, jakie brzydactwo! — mówiły do siebie, patrząc na przybysza. — I skąd się to tutaj wzięło?

Zmartwiła się choinka.

— Wiem, że jestem brzydka — pomyślała — ale cóżem temu winna?

Niebawem zjawilo się kilku chłopców z siekierkami i zaczęli wybierać małe drzewka, obrównywali ich gałęzie i wsadzali do kubelka napelnionego ziemią. Przyszła kolej i na naszą choinkę.

— Jakie to koszlawe! — powiada chłopiec, obra-



cając ją na wszystkie strony. — Chyba wyrzucę... kto to kupić może?

Drzewko zadrżało. — Co będzie ze mną? — szeptało.

Po krótkim jednak namyśle chłopiec wziął choinkę, wsadził w ziemię i postawił obok innych.





## III

**B**YŁA to wigilja Bożego Narodzenia. Ogromny ruch panował w mieście.

Choinki stoją na placu, a koło nich uwija się mnóstwo ludzi. Kupują choinki jedną po drugiej. Zaledwie kilka zostało.

Nasza choinka stoi smutna i czeka.

— Co ze mną będzie?

Wtem zbliża się do niej jakaś kobieta w chustce na głowie i z koszykiem w ręce; podnosi drzewko do góry, ogląda i zabiera ze sobą.

— Co ze mną będzie? — myśli choinka. — Pewno już mój koniec nadszedł.

W chwilę później choinka stała w sali. Jakieś



dziewczynki zaczęły ją stroić. Na jednych gałązkach zawieszono koszyczki, napelnione cukierkami, na drugich wisiały pierniki, złocone orzechy i jabłka. A do wszystkich gałązek przywiązane były świeczki białe, niebieskie i różowe.

Choinka nie widziała nic podobnego.

Na samym czubku przypięty został aniołek z tektury.

Zapalono świeczki.

Weszła siostra miłosierdzia w dużym, białym kornecie i otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju.





Naraz cała sala nappełniła się mnóstwem drobnych dzieci. Były to sierotki, które opiekowały się zakonnicami.

— Cóż za cudne drzewko! — woła jedno dziecko.

— Piękne! Nigdy takiego nie widziałam — mówi inna dziewczynka.

I smutne twarzyczki dzieci rozpromieniły się wszystkie na widok zapalonego drzewka.

Choinka też była szczęśliwa: nigdy o sobie tyle dobrego nie słyszała.

— Niech się ze mną co chce dzieje, ale jest mi tu najlepiej.

Długo dzieci biegały, długo bawiły się, śpiewały, tańczyły i coraz powtarzały: — Moje śliczne drzewko!

Wkońcu świece się wypaliły, łakocie były zdjęte i drzewko zostało ogołoczone zupełnie.

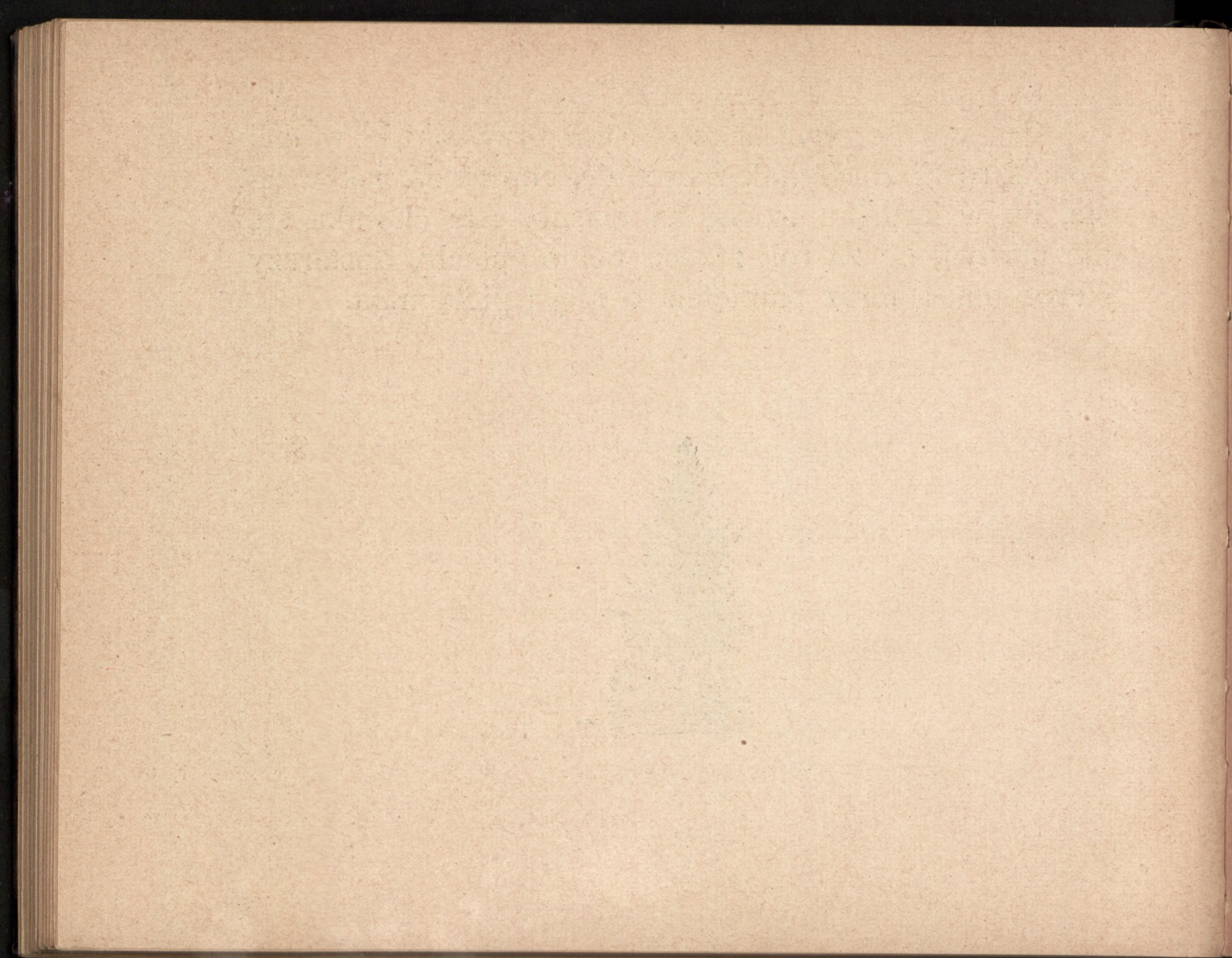
— Co się ze mną teraz stanie? Może wyrzucą?



Ale jej nie wyrzucono. Stoi przy oknie w sali i nadal rośnie. Nie tak wygodnie, coprawda, jak w lesie, bo w kubelku trochę za ciasno. Ale choinka się nie martwi, bo za rok znowu pełno uciechy dostarczy sierotkom; a teraz pamiętają o niej i pielęgnują.









# S P I S R Z E C Z Y

	Str.		Str.
Strumień . . . . .	5	Dwaj przyjaciele II . . . . .	61
Kapelusz Stasia . . . . .	9	Strach w ścianie . . . . .	64
O świcie . . . . .	13	Wiatrak . . . . .	68
Grabarze I . . . . .	16	Do celu . . . . .	71
Grabarze II . . . . .	19	Szczególna zabawa . . . . .	75
Jaskółki I . . . . .	23	Czego się Stasia na wsi nauczyła I. 79	
Jaskółki II. . . . .	26	Czego się Stasia na wsi nauczyła II. 83	
Złamana gałąź . . . . .	28	Skrzydlaty więzień I . . . . .	87
Sprytny Antek . . . . .	31	Skrzydlaty więzień II . . . . .	89
Odważne kurczę . . . . .	36	Upominek gwiazdkowy I . . . . .	93
Po drodze. . . . .	39	Upominek gwiazdkowy II. . . . .	95
Nierozważny motyl . . . . .	43	Nocny śpiewak I. . . . .	99
Jędrak . . . . .	46	Nocny śpiewak II . . . . .	103
Narada drobiu I . . . . .	49	Na pastwisku . . . . .	107
Narada drobiu II . . . . .	52	Choinka I . . . . .	113
Agrest Kachny . . . . .	55	Choinka II . . . . .	116
Dwaj przyjaciele I . . . . .	59	Choinka III . . . . .	120



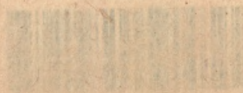


8

9



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



0000000000000







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001018618868





BIBLIOTEKA  
NARODOWA

541487

---

---